

# ŁAWA PRZYSIĘGLYCH

Krzysztof Koziołek



SPRAWIEDLIWOŚĆ MOŻESZ KUPIĆ

# **ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH**

Krzysztof Koziółek

Redakcja i korekta  
*Daniel Lesiewicz*

Projekt okładki  
*Kamil Pietruczynik*  
[www.kamilpietruczynik.pl](http://www.kamilpietruczynik.pl)

Fotografia na okładce  
© Nejron Photo / Fotolia.com

Skład i łamanie  
*Krzysztof Kokosiński*

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2015  
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2015

[www.manufakturatekstow.pl](http://www.manufakturatekstow.pl)

Oficjalna strona internetowa autora  
[www.krzysztofkoziolok.pl](http://www.krzysztofkoziolok.pl)

Wydanie drugie  
Nowa Sól 2016

ISBN 978-83-944854-4-3

Druk i oprawa  
TOTEM - Inowrocław

*Dedykuję  
Braciom*

*Sprawiedliwość powinna karać zbrodnię*

## PROLOG

– Wpierdolimy im?! – mężczyzna na siedzeniu pasażera ciemnogramatowego audi A8 trzeciej generacji – z alufelgami, spojlerem większym od statecznika Jumbo Jeta i zestawem głośników dolby surround mogącym obsłużyć największy nawet osiedlowy festyn – zaśmiał się skrzekliwym głosem, prezentując przy tym spróchniałe dwójki. Zresztą, zęby w fatalnym stanie były tylko jednym z elementów fizjonomii tak antypatycznej, że na jej widok każdy normalny obywatel przechodził bez słowa na drugą stronę ulicy, nie chcąc ryzykować spotkania z masą mięśni i zwałami tłuszczu zamiast mózgu. Ale parszywa gęba to jedno, ważniejsze było – jak okazało się już nieraz i jak miało się okazać za kilka chwil – że w środku czał się prawdziwy potwór, nie człowiek.

– Jacha! – kierowca był tylko nieco mniej brzydki od brata, za to podejście do życia miał równie skrzywione. Innymi słowy, obaj byli ludźmi, których należało unikać jak otwartego ognia w fabryce amunicji.

\*

W momencie, w którym Damian Kanclerz podniósł wzrok znad paczki pieluch w rozmiarze 5 plus – która najwyraźniej zamierzała doprowadzić go do szewskiej pasji, klinując się między czterokilogramowym arbuzem a zgrzewką wody mineralnej mocno zmineralizowanej – usłyszał basy targające ciemnogramatowym audi niczym trąba powietrzna domkiem zbitym z byle jakich desek. Chwilę później zobaczył twarze skryte za przednią szybą i poczuł dreszcz strachu spływający od karku po koniuszki palców u stóp.

Przecucie go nie myliło.

\*

– Patrz, te chuje są z dupami – mężczyzna na siedzeniu pasażera zarechotał, krztusząc się przy tym jak gruźlik.

– Będzie jazda! Zupełnie jak ostatnio, kiedy obiliśmy tego gówniarza na Górczynie! – podniósł otwartą prawą dłoń.

– Ale im wpiardolimy – syknął, przybijając piątkę kierowcy. Sięgnął po jeden z dwóch kijów bejsbolowych leżących na hamulcu ręcznym.

\*

– Dziewczyny, wsiadajcie do auta – Kanclerz wydał polecenie żonie i siostrze tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Alarm bezpieczeństwa – rzucił w kierunku szwagra, który stał z drugiej strony wózka z zakupami.

\*

– Kto wam pozwolił tutaj zaparkować? – kierowca z audi odcharknął, po czym splunął ze złością.

– Żeby tutaj stanąć, trzeba mieć nasze zezwolenie – wtórował brat, bawiąc się kijem.

– Panowie, nie chcemy problemów... – Kanclerz podniósł obie ręce do góry, trzymając otwarte dłonie w kierunku napastników. Sam gest wykonał nieświadomie, ale w momencie, kiedy trzymał ręce w górze, przed oczami pojawił się obraz z treningu, a w głowie rozbrzmiał głos senseia: „Kiedy zostaniecie zmuszeni do wykorzystania swoich umiejętności i, broniąc się przed napastnikiem, zrobicie mu krzywdę, to właśnie ten gest będzie koronnym argumentem przed sądem. On mówi sam za siebie: Ja nie chcę żadnej awantury”.

Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie i aż do momentu, w którym Kanclerz mógł zobaczyć zapis z monitoringu, nie zdawał sobie sprawy, że wszystko działo się zaledwie nieco ponad minutę.

Gest, który wykonał, obaj mężczyźni zinterpretowali jako objaw strachu, a to podziałało na nich jak czerwona płachta

na byka. Zawsze, kiedy zwietrzyli taką okazję, wykorzystywali ją. Nie inaczej było tym razem, w jednej chwili postanowili rozpocząć polowanie. Ten z fizjonomią upiora z opery zamachnął się na Kanclerza, zaś drugi z napastników ruszył w stronę szwagra.

Szwagier próbował zasłonić się pieluchami, ale o ile udało mu się sparować pierwszy cios, wymierzony w brzuch, o tyle drugiego – w głowę – nie uniknął. Kij trafił nasadą prosto w nos, dało się słyszeć chrzęst, po czym twarz zalała się krwią. Sekundę później bezwładne ciało padło na polbruk. Kobiety w aucie zaczęły krzyczeć.

Kanclerz dojrzał to kątem oka. Widząc, co stało się ze szwagrem, zrozumiał, że agresorzy nie przyszli po drobne z koszyka, tylko chcą ich po prostu zmasakrować. Wciągnął powietrze, zgarbił się nieco, przyjmując pozycję obronną, obniżonymi żebrami chroniąc narządy wewnętrzne. Jednocześnie wpatrywał się w ruchy przeciwnika, nie spuszczać go z oczu.

– Teraz twoja kolej – mężczyzna uśmiechnął się, nagle przyspieszając.

Kanclerz nic nie odpowiedział, jedyną myślą – ciekawe, co przychodzi człowiekowi do głowy w takim momencie – była ta, że dentysta miałby tu spore pole do popisu. Bez namysłu złapał szalik Stali Miłów leżący na pokrywie bagażnika i sprawnie owinął nim prawe przedramię. Następnie wykonał lekki balans ciałem, zgrabnym ruchem przesuując ciężar na lewą nogę, po czym nachylił się mocno i prawym przedramieniem sparował uderzenie. Kiedy drewniany kij dotknął ręki, nie poczuł bólu, adrenalina wspomagana grubą wełną klubowego gadżetu zrobiła swoje.

Gdyby Kanclerz miał czas, aby przyjrzeć się twarzy napastnika, zarejestrowałby zdziwienie ogarniające antypatyczną fizjonomię. Mężczyzna był kompletnie zaskoczony tym, że cios nie doszedł celu, czyli głowy. Jednak mocniej



nie zdążył się już zdziwić, Kanclerz jednym susem znalazł się za jego plecami, dwa palce prawej dłoni brutalnie wciśnął w nos mężczyzny, rozrywając nozdrza, zaś kantem lewej z całej siły uderzył w głowę na wysokości ucha. Ponieważ do wyprowadzenia uderzenia wykorzystał wcześniejszy skręt tułowia, siła ciosu była zwielokrotniona.

Kiedy poczuł, że ciało wiotczeje i się osuwa, momentalnie odwrócił się, aby skontrolować pozycję drugiego agresora.

Ten był równie zaskoczony, co jego brat chwilę wcześniej.

– Zajebię cię, chuju! – warknął, rzucając kij na ziemię i robiąc krok do przodu.

Kanclerz bez słowa wykonał dwa szybkie kroki, aby zmniejszyć dystans i zająć dogodną dla siebie pozycję.

– Już nie żyjesz, kurwo! – z kieszeni wyciągnął motylek, rozłożył go sprawnie, było widać, że posługiwanie się nożem ma opanowane do perfekcji.

– Kurwa jest rodzaju żeńskiego – wypalił Kanclerz, zanim zdał sobie sprawę z bezsensowności uwagi.

Mężczyzna wyprowadził cios prawą ręką, spod biodra, w ostatniej chwili kierując ostrze w górę, w korpus. Kiedy nóż przeszywał miejsce, w którym chwilę wcześniej znajdowała się klatka piersiowa Kanclerza, on był już gdzie indziej. Tym razem jednak wykonał unik w swoje prawo, czyli znalazł się po lewej stronie napastnika. Ponieważ mężczyzna w wyprowadzenie ciosu nożem włożył ogromną siłę, fakt, że trafił w próżnię sprawił, iż stracił równowagę. Kiedy jego ciało zaczęło nieuchronnie zmierzać na spotkanie z ziemią, Kanclerz w ułamku sekundy przełożył ciężar ciała na prawą nogę, dla przeciwwagi przechylając mocno korpus na prawo, po czym podniósł lewą nogę, a następnie wyprostował ją w kolanie z ogromną siłą.

Gdyby uderzył przeciwnika stopą w twarz – a tam celował – niewątpliwie odpląciłby mu tym samym, co chwilę wcze-

śniej tamten zrobił szwagrowi. Jednakże albo wycelował niedokładnie, albo też lot mężczyzny w kierunku ziemi nagle przyśpieszył. Powód był jednak zupełnie nieistotny, liczył się efekt, to, że cios – również wyprowadzony z potężną energią – trafił w grdykę, w jednej chwili miażdżąc krtań.

Mężczyzna, upadając, złapał się dłońmi za szyję, próbując spazmatycznie nabrać powietrza.

Kanclerzowi nawet nie przeszło przez myśl, aby udzielać mu pomocy. Kiedy tylko upewnił się, że obaj napastnicy są unieszkodliwieni, podbiegł do szwagra. Sprawdziwszy puls, krzyknął do żony, aby wezwała karetkę i policję. Zaraz potem ułożył szwagra – wciąż nieprzytomnego – w pozycji bocznej bezpiecznej.

## ROZDZIAŁ 1

Kiedy na miejscu zjawiała się karetka, ratownik najpierw stwierdził zgon obu mężczyzn, następnie zajął się opatrywaniem szwagra. Chwilę potem na parking podjechał radiowóz na sygnale. Policjanci wysłuchali opowieści Kanclerza, jego żony i siostry, po czym tego pierwszego zatrzymali do wyjaśnienia. Tłumaczenia, że stali się ofiarami brutalnego napadu, nie pomogły, funkcjonariusze byli nieugięci, uspokajali przy tym, że jest to rutynowa czynność, a po złożeniu wyjaśnień na komendzie, najprawdopodobniej zostanie zwolniony. Udało się jedynie uprosić, aby nie zakuwali go w kajdanki.

\*

W drodze na Komendę Miejską Policji przy ulicy Wyszyńskiego Kanclerz próbował opanować gonitwę myśli. Widok zakrwawionej twarzy szwagra co rusz ustępował miejsca zepsutym zębom jednego z napastników. Na myśl o zmiąż-

dżonym nosie zaczął się zamartwiać, czy szwagier z tego wyjdzie. Żałował, że nie mógł pojechać do szpitala, miał nadzieję, że dziewczyny poradzą sobie bez niego. – Dobrze chociaż, że jadąc na zakupy, zostawiliśmy dzieciaki u dziadków – westchnął. – Zresztą, pewnie za godzinkę mnie puszcza i od razu, z kopyta, pojedą na Dekerta.

Byli już na Wyszyńskiego, chwilę potem Kanclerz po prawej stronie ulicy spostrzegł czteropiętrowy blok z charakterystycznymi miniaturowymi balkonami. Szczególnie jeden z nich rzucał się w oczy, ukwiecony niczym łąka w pełni lata, mocno przy tym kontrastując z pozostałymi, pustymi, wręcz wołającymi o choćby jedną marną donicę.

Przemknęli obok bloku, nagle zza rozłożystego dębu wyłonił się nowoczesny, mocno kanciasty budynek. Rząd wąziutkich okienek na parterze sprawiał wrażenie, że ma się do czynienia z jakąś halą produkcyjną, gdzie stół w stół siedzą chińskie dzieci i na maszynach do szycia produkują miliony sztuk bluz, spodni i swetrów. Na szczęście wielki napis „Policja” widniejący na wysokości około 10 metrów wyjaśniał wszelkie wątpliwości: to nie była fabryka, chociaż pracujący tam funkcjonariusze właśnie takim pieśczośliwym określeniem nazywali swoje miejsce pracy, mimo że większość z nich miała już serdecznie dość produkowania setek tysięcy papierków niezbędnych do karmienia zarówno przełożonych, jak i potwora biurokracji.

\*

Minęła godzina, a nie dość, że Kanclerz nie opuścił jeszcze gmachu komendy, to nie zaczęło się nawet składanie wyjaśnień. Gdyby wcześniej miał do czynienia z policją, wiedziałby, że to nic innego jak standardowe urabianie zatrzymanego.

Przesłuchanie zaczęło się dopiero po dwóch godzinach, a po kolejnych trzech kwadransach Kanclerz zaczął odczu-

wać absurdalność sytuacji. Dwaj funkcjonariusze, którzy spisywali jego zeznania, działali mu mocno na nerwy: na zmianę jeden wychodził, drugi skądś wracał, po czym pytał o to samo, co chwilę wcześniej chciał wiedzieć poprzednik. Nie dość tego, co rusz przechodzili do tych samych wątków i musiał kolejny raz opowiadać to samo. W pewnym momencie nie wytrzymał.

Wybuch złości nie zrobił jednak żadnego wrażenia na policjantach. Po kolejnej półgodzinie spisali w końcu zeznania, a kiedy je parafował, został odprowadzony z powrotem na dołek. Uwaga, że po złożeniu wyjaśnień miał zostać wypuszczony do domu, spotkała się z kpiącymi uśmieszkami i wzruszeniem ramion.

## ROZDZIAŁ 2

Marta Kanclerz przemyśla twarz zimną wodą i przyjrzała się odbiciu w lustrze szpitalnej łazienki, próbując przy tym odzyskać jasność umysłu. Od momentu zatrzymania przez policję Damian nie dał znaku życia, nie było go też u rodziców ani u teściów, a jego telefon milczał jak zakłęty.

Spojrzała na zegarek, dochodziła 6.00, od zatrzymania minęło już ponad 8 godzin. Chociaż do tej pory nie miała styczności z organami ścigania, podświadomie czuła, że przesłuchanie tak długo trwać nie powinno. Nie namyślając się wiele, wyciągnęła komórkę i wybrała numer 112. Po dłuższym oczekiwaniu odezwał się dyżurny miejscowej komendy. Choć silił się na uprzejmy ton, nie mógł jej pomóc, języka mogła zasięgnąć tylko osobiście.

Wróciła do pokoju, przytuliła mocno siostrę, tłumacząc, że musi pojechać na policję. Ta skinęła tylko głową, ocierając łzy.

Od dyżurnego na komendzie dowiedziała się niewiele. Już miała wyjść, gdy jakiś funkcjonariusz przywołał ją gestem głowy. Kiedy podeszła, odpowiedział jej, żeby jak najszybciej załatwiła mężowi pomoc prawną, odpowiedział też, że najwięcej kancelarii znajduje się w okolicach sądu okręgowego.

Wyszła z budynku komendy, Wyszyńskiego ruszyła w stronę centrum, minęła Chodkiewicza, skręciła w prawo we Franklina Roosevelta. Gdy doszła do skrzyżowania z Mieszka I, stanęła przed sygnalizacją świetlną. Na zielone dla pieszych trzeba było czekać bardzo długo. Zniecierpliwiona, spojrzała na drugą stronę ulicy Mieszka I, również tam piesi niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę w oczekiwaniu na zmianę świateł. Wtem, w oddali, nad koronami drzew spowitymi gęstą mgłą wznoszącą się ku górze jakby z dumą, zamajaczyły wieżowce z niedawno odmalowanymi elewacjami przyciągającymi wzrok kolorami: beżem, żółcią i różnymi odcieniami niebieskiego, bardzo podobne do tego bloku, w którym znajdowało się ich mieszkanie.

W końcu oczekiwanie sporej już liczby przechodniów zostało nagrodzone. Marta Kanclerz rażnym krokiem – tak, jak mówią przepisy ruchu drogowego – przeszła na drugą stronę ulicy. Gdy znalazła się naprzeciwko sądu okręgowego, zaczęła się uważnie rozglądać w poszukiwaniu kancelarii prawnych.

Wszystkie były jednak zamknięte. Szła więc dalej przed siebie, patrząc na szare, odrapane kamienice po obu stronach ulicy, bogato zdobione balkony i gzymsy, które niemym krzykiem próbowały zwrócić uwagę i przypomnieć o latach dawnej – pewnie jeszcze przedwojennej – świetności. Tak jak ona teraz, łkając cicho na pustej ulicy, próbowała zwrócić uwagę jakiegoś dobrego i taniego prawnika, by upomnieć się o ukochanego męża.

Na następnych światłach – tym razem oczekiwanie było nieporównywalnie krótsze – skręciła w prawo, weszła w Mickiewicza. Jej uwagę od razu zwróciła tablica z napisem „Adwokat”. Dopiero po kilkudziesięciu metrach dostrzegła, że to były „Antyki”. Postanowiła jednak iść dalej. Na tej ulicy kamienice też straszły szarością i płatami odpadającego tynku. Nagle, znalazłszy się na wysokości warsztatu samochodowego, spojrzała w lewo. Obok wejścia do klatki nr 13D, po lewej stronie drzwi, wisiała wielka tablica reklamująca usługi kancelarii prawniczej „Ius pro populi”. Nie miała zielonego pojęcia, co to znaczy po łacinie, za to uwagę przykuła informacja wypisana nieco mniejszymi literami: „Rzetelne usługi na każdą kieszeń”. Szczególnie to ostatnie było istotne.

Zanim zdecydowała się przejść na drugą stronę ulicy, przyjrzała się kamienicy. Sprawiała przygnębiające wrażenie, szara i smutna, i ten tynk odpadający płatami, jak skóra chorego na łuszczycę. Obok jednego z okien ktoś wydrapał w tynku wyznaczenie miłości dla „Stilonu”.

Powiodła wzrokiem nad wejście, widniała tam data postawienia kamienicy: 1927. – Mój dziadek urodził się w 1927 roku – uśmiechnęła się mimowolnie, w jednym ułamku sekundy nabierając śmiałości.

\*

Policjanci z konwoju, którzy przyszli po Kanclerza, nie byli zbyt rozmowni, ale tylko do czasu, kiedy wsiedli do volkwagena transportera. Jeden z funkcjonariuszy zasiadł za kierownicą, drugi wsiadł do przedziału dla zatrzymanych razem z nim.

– Słyszeliśmy o pańskiej przygodzie – kierowca zaczął mówić, gdy tylko ruszyli w dwuipółkilometrową podróż do siedziby Prokuratury Okręgowej przy ulicy Moniuszki.

– Przygodzie? – Kanclerzowi zachciało się nagle płakać.  
– Pana to śmiesz?

– Nie – wtrącił pilnujący go policjant. – Co najwyżej wkurwia nas to, że prokuratura gnębi takich ludzi jak pan, zamiast dać im spokój.

– Naprawdę pan taki myśli? – w serce Kanclerza pierwszy raz od kilkunastu godzin wlało się trochę otuchy.

– Tylko ta rozmowa zostaje między nami – policjant przyłożył palec do ust. – Jakby to od nas zależało, to zaraz po przesłuchaniu odwieźlibyśmy pana do domu, po drodze kupując zgrzewkę piwa.

– Na komendzie dobrze znamy tych dwóch gnoi, których pan wczoraj załatwił – kierowca ponownie włączył się do rozmowy. – Gdyby nie to, że mają bogatego i wpływowego tatusia, już dawno siedzieliby w więzieniu.

– I to z wysokimi wyrokami – potwierdził policjant z przedziału dla zatrzymanych. – Ale prokurator woli się dobrać do dupy niewinnemu człowiekowi, bo tym nikomu się nie narażi. A ścigając prawdziwych bandytów mógłby podpaść szefowi, który co tydzień z pewnym panem gra w golfa – cmoknął z niezadowolaniem.

– Dojeżdżamy – poinformował kierowca. – Mogę panu coś nieoficjalnie doradzić?

– Oczywiście – odparł Kanclerz bez zastanowienia.

– Jeśli prokurator przedstawi panu jakiegokolwiek zarzuty, niech pan mu każe spierdalać na drzewo...

– Oczywiście niech pan to wyrazi innymi słowami – wtrącił drugi z funkcjonariuszy.

– Ja tylko obrazuję sytuację – kierowca pośpieszył z wyjaśnieniem. – Niech pan się do niczego nie przyznaje.

– Wtedy mnie puszcza? – Kanclerz zmarszczył brwi.

– Raczej nie – kierowca się zawahał. – Jeśli zarzuty będą poważniejsze, to prokurator może złożyć wniosek o areszt tymczasowy. Wtedy wszystko będzie zależało od decyzji sądu – zatrzymał radiowóz.

– A jak się przyznam, to wyjdę? – kolejne pytanie Kancelrza.

– Chuj wie – drugi policjant dosadnie wyjaśnił wątpliwości. – Prokurator może pana wypuścić, ale równie dobrze może zażądać aresztu tymczasowego. Z drugiej strony, jak się pan teraz przyzna, to potem przed sądem będzie pan na straconej pozycji – otworzył drzwi.

– To żeście mi, chłopaki, pomogli... – Kanclerz zeskoczył na bruk. – Teraz to mam we łbie tak namieszane, że nie wiem, co robić...

\*

Marta Kanclerz przestąpiła próg kamienicy, chwilę trwało, zanim przyzwyczała wzrok do ciemności panujących w korytarzu, których nie potrafiła rozproszyć mała żarówka świecąca nikłym blaskiem spod wysokiego sufitu. Zaczęła się rozglądać, próbując zorientować w przestrzeni, na próżno szukała wejścia do kancelarii. Wtem dostrzegła małą strzałkę kierunkową, ruszyła jej śladem, tuż za schodami wiodącymi na wyższe piętra w oczy kłuły nowiutkie drzwi. Nacisnęła klamkę bez zastanowienia, poddała się bez problemu, drzwi były otwarte. Znalazła się w małym holu, w którym z ledwością zmieścił się wieszak na ubrania i dwa nie pierwszej młodości krzesła. Po prawej były drzwi, a za nimi toaleta, o czym świadczył stosowny piktogram chłopczyka trzymającego siusiaka w dłoniach. Na wprost znajdowały się drugie drzwi, gdyby przyjrzała się im baczniej, dostrzegłaby farbę odpadającą w okolicach zawiasów, najwyraźniej też najlepsze lata miały już za sobą, zarówno zawiasy jak i samo skrzydło.

Zastukała, po chwili usłyszała donośne: „Proszę”. Weszła, mówiąc: „Dzień dobry”.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że gabinet jest urządzone równie skromnie, co hol. W centralnym miejscu stało biurko, przed nim dwa krzesła – równie wiekowe jak te z ko-



rytarza – obok regał z misternie poukładanymi segregatorami i książkami. Okno w pomieszczeniu było tylko jedno i to tak wąskie, że można było przypuszczać, iż w miejscu dzisiejszej kancelarii prawniczej wcześniej znajdował się składzik na miotły i środki czystości.

Odsunęła od siebie tę myśl, przywołując w pamięci tablicę reklamową. Na każdą kieszeń, to było teraz najważniejsze. Aby dodać sobie odwagi, jeszcze raz powiedziała „dzień dobry”, już dużo głośniej, po czym przedstawiła się z imienia i nazwiska.

Mecenas Jakub Bielik wstał, jak na dżentelmena przystało, zrobił dwa kroki – gdyby zrobił dwa kolejne, znalazłby się za drzwiami własnego gabinetu – i wyciągnął dłoń na przywitanie. Wcześniej oczywiście zdążył otaksować ją jednym spojrzeniem, dając 30, góra 32 lata, od razu klasyfikując jako kurę domową będącą na utrzymaniu męża. Nie cierpiał takich kobiet, bo po odchowaniu dzieci nie potrafiły wrócić na rynek pracy, a tym samym stawały się darmozjadami żerującymi na całym wachlarzu zasiłków i dodatków. Zupełnie jak jego matka.

– Słucham, w czym mogę pani pomóc? – przybrał zawodową maskę uprzejmości, wskazując na krzesło.

– Panie mecenasie, wczoraj wieczorem mojego męża zatrzymała policja – ledwie zaczęła mówić, gdy zabrakło jej słów. – Dzisiaj z samego rana byłam na komendzie, ale nie pozwolono mi się z nim zobaczyć. Dowiedziałam się jedynie, że został przewieziony do prokuratury i tam jest przesłuchiwany. Nie wiem, jak mogę mu pomóc...

Zareagował kolejnym wymuszonym uśmiechem. Nie dość, że wiedziała, jak należy go tytułować, to jeszcze mówiła zupełnie składnie i z sensem. – Być może nie należało jej tak szybko szufladkować – zreflektował się w myślach, przyglądając uważniej. Miała bardzo kobiecą figurę, piersi ani za duże, ani za małe, dość zgrabne nogi. Ubrana ze smakiem,

choć skromnie. Byłaby całkiem ładna, gdyby nie te mocno podkrążone oczy i brak makijażu ukrywającego drobne zmarszczki pod oczami.

– Za co zamknęli pani męża? – rozmowa zaczęła go nużyć. Zerknął ukradkiem na torebkę, chociaż nie był na bieżąco z trendami, to od razu można było poznać, że akurat ta część jej garderoby wyszła z mody co najmniej dekadę temu. Był gotów się założyć, że kiedy wspomni o honorarium – wściekle niskim w porównaniu do standardowych stawek obowiązujących w mieście – okaże się, że i tak jej nie stać.

– Zapisałam sobie – otworzyła torebkę, wyciągnęła karteczkę zapisaną drobnym drukiem. – Udział w bójce ze skutkiem śmiertelnym.

– Udział w bójce ze skutkiem śmiertelnym... – powtórzył jak echo.

– Tak mi powiedział policjant na komendzie – wyjaśniła. – Ale zaznaczył, że to wstępny zarzut i że może ulec zmianie. Więc nie wiem...

– Tak czy siak – wszedł jej w słowo – jeśli mąż podczas przesłuchania przez prokuratora przyzna się do winy, zostanie zwolniony. Jeżeli się nie przyzna, prokuratura zażąda aresztu tymczasowego.

– Aresztu? – w kącikach oczu pojawiły się łzy. – Przecież Damian nie zrobił nic złego.

– Każdy tak mówi – westchnął w myślach, a na głos powiedział: – Czyli możemy przypuszczać, że się nie przyzna. A to oznacza, że lada chwila trafi przed oblicze sędziego, który zdecyduje o zastosowaniu aresztu tymczasowego.

– I nic nie można zrobić? – w jednej chwili przywołała się do porządku, robiąc tym samym wrażenie na Bieliku.

– Musiałbym poznać szczegóły sprawy, ale nawet bez tego mogę pani powiedzieć, że stosownym byłaby obecność prawnika podczas takiego posiedzenia sądu.

– Czy to dużo kosztuje? – spytała niepewnie.

Delikatnie się uśmiechnął, gratulując sobie przenikliwości: czuł, że jest biedna i właśnie wygrał zakład z samym sobą. Zanotował w myślach, że przyszedł czas na zmianę napisu na tablicy reklamowej, obecna przyciągała chyba wszystkich biedaków z miasta.

– W zależności od stopnia skomplikowania danej sprawy od kilkuset złotych do tysiąca – bacznie wpatrywał się w twarz kobiety, chcąc z niej wyczytać jak najwięcej. W głębi duszy wciąż miał jednak nadzieję, że uda się zarobić chociażby na czynsz nędznej kawalerki, z którym zalegał od dwóch miesięcy. – Ale potem będą następne wydatki, bo zaczniesz proces. Koszty mogą sięgnąć kilku tysięcy złotych...

– Kilku tysięcy złotych... – powtórzyła jak echo. – W naszej rodzinie pracuje tylko mąż, ja zajmuję się domem – mówiła cicho, ale z twardością wyczuwalną w głosie. – Jakoś sobie poradzimy, weźmiemy kredyt albo poprosimy o pomoc rodzinę...

– Jest pani pewna? – spytał bez cienia troski o nią, co najwyżej o własne wynagrodzenie. Aż go korciło, żeby ją spławić, z drugiej strony wizja zapłaty zaległego komornego robiła swoje.

\*

Prokurator Marcin Dobrowolski z Prokuratury Okręgowej w Miłowie Wielkopolskim – minutę potem, gdy Kanclerz usłyszał jego imię i nazwisko, wypadły mu one z pamięci – nawet nie silił się na uprzejmości, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Po potwierdzeniu tożsamości poprosił o przedstawienie własnej wersji wydarzeń. Mimo tego, że Kanclerz miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości dopiero drugi dzień, zdążył się nauczyć, że uwaga w stylu „Mówiłem już to policji”, nie zostanie dobrze przyjęta. Nie oponował więc, tylko zaczął opowiadać.

Prokurator ogólnie nie przerywał, nie komentował, pozwolił sobie tylko na standardową uwagę „Czy chciałby pan coś dodać?”.

Kiedy Kanclerz zaprzeczył, śledczy wykrzywił usta w grymasie, który w zamierzeniu miał być zaczątkiem uśmiechu.

– Panie Kanclerz – Dobrowolski bezpiecznie nie odmienił nazwiska – w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej przedstawiam panu zarzut przekroczenia obrony koniecznej i nieumyślnego spowodowania śmierci Mariana Grzędowicz, lat 32 oraz Stefana Grzędowicz, lat 34, to jest o przestępstwo z artykułu 155 kodeksu karnego w połączeniu z artykułem...

Kanclerz więcej nie słyszał, dopiero teraz zrozumiał, w jakim bagnie się znalazł. I nawet nie chodziło o zarzuty, bo na to akurat zdążyli go przygotować policjanci z konwoju. Nie, dopiero gdy do świadomości wdarły się nazwiska obu mężczyzn, dotarło do niego, że zabił dwóch ludzi. I to jeszcze braci.

– Czy przyznaje się pan do zarzucanych mu czynów? – głos prokuratora zabrzmiał jak echo.

– Słucham? – spytał zdezorientowany.

– Czy przyznaje się pan...

– Nie – Kanclerz przerwał prokuratorowi w połowie zdania. – To ci dwaj bandyci napadli na mnie i moją rodzinę, chociaż nikt z nas nie zrobił im niczego złego, a nie ja na nich. Proszę to zaprotokołować w imieniu jednego z obywateli Rzeczypospolitej Polskiej – wycedził, patrząc rozmówcy prosto w oczy.

\*

– Mąż naprawdę nie zrobił nic złego – Marta Kanclerz westchnęła głęboko.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – Bielik uśmiechnął się z uprzejmością wymalowaną na twarzy – ale fakt niewinności pani męża nie ma wpływu na... Jakby to powiedzieć... – szukał odpowiedniego określenia.

– Na wysokość pańskiego honorarium – odpowiedziała.  
– Nie chciałbym, żeby to tak zabrzmiało – skrzywił się mocno, kolejny raz punktując samego siebie w myślach za niedocenianie przeciwniczki.

Odpowiedziała mu smutnym uśmiechem.

– Zmieńmy temat – zaproponował. – Proszę mi opowiedzieć o tej bójce.

– Razem z siostrą i szwagrem byliśmy na zakupach, chłopcy właśnie pakowali je do auta, gdy podjechało dwóch osiłków z kijami bejsbolowym...

– To było na parkingu przy Skalamandrze? – wtrącił nagle Bielik.

– Tak – potwierdziła, zaskoczona. – Skąd pan wie?

– Wczoraj wieczorem słyszałem o tej bijatyce – wytłumaczył pośpiesznie. – Ale niech pani mówi dalej – ponaglił, czując rosnącą ekscytację.

– Zaczęli coś mówić o tym, że nie mamy ich zezwolenia na parkowanie w tym miejscu... Damian tłumaczył, że nie chcemy problemów, ale to nic nie dało – zaczęła płakać. – Jeden z tych mężczyzn uderzył szwagra kijem w głowę, od razu stracił przytomność...

– Co ze szwagrem? – zainteresował się błyskawicznie.

– Ma złamany nos i kość jarzmową, wybite cztery zęby i wstrząśnienie mózgu – wyliczała. – Zabrali go na Dekerta, rano wciąż był nieprzytomny, lekarze obawiali się uszkodzenia mózgu, dlatego wprowadzili go w śpiączkę farmakologiczną.

– Rozumiem – Bielik skrętnie notował w myślach kolejne fakty, ze wszystkich sił starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zaczęło mu zależeć na poprowadzeniu sprawy.

– Co się działo dalej?

– Drugi zaatakował męża...

– Czym? – sięgnął po skoroszyt.

– Też kijem bejsbolowym.

- Panie byliście na zewnątrz auta? – zaczął notować.
- Nie – zaprzeczyła natychmiast. – Chwilę wcześniej, gdy samochód z tamtymi bandziorami podjechał do nas, mąż kazał mi i siostrze wsiąść do auta.
- Rozumiem – skrobał w zeszytcie z namaszczeniem równym temu, gdy pisał pracę magisterską. – Więc jak pani to wszystko widziała?
- Przez tylną szybę – odparła.
- Jaki macie samochód?
- Daewoo matiz.
- A napastnicy czym przyjechali?
- Nie wiem – wrzuciła ramionami. – Nie znam się na markach samochodów. Był koloru grafitowego.
- Rozumiem – Bielik cały czas robił notatki. – Więc drugi z napastników zaatakował męża kijem bejsbolowym. Co było dalej?
- Zamachnęła się na Damiana, ale mąż się uchylił – ze szczegółami opowiedziała o zajściu.
- Więc panie przedstawiłyście policjantom przebieg zdarzeń? – upewnił się, gdy skończyła.
- Tak, ale powiedzieli, że i tak muszą męża zatrzymać do wyjaśnienia i że to nie potrwa długo. Bez obaw pojechałam więc z siostrą do szpitala. Byłam tam do rana, potem od razu udałam się do komendy, ale...
- Nic tam pani nie załatwiła – zamknął notatnik z trzaskiem. – Powiem pani, co o tym wszystkim myślę – momentalnie podjął decyzję. To była jego wielka, upragniona szansa, na którą czekał od dzieciństwa. – Jak dla mnie sprawa jest jasna. Dla pani też. Podejrzewam, że dla męża również. Niestety, to, co jest proste dla nas, prokuratura w tym kraju notorycznie komplikuje. Dlatego radziłbym pani skorzystać z usług prawnika od razu, już od przesłuchania w sprawie aresztu tymczasowego.

– A kiedy takie przesłuchanie może się odbyć?  
– Jeżeli mąż nie przyzna się do winy, a oboje przewidujemy, że tak będzie, to, jak znam życie, prokuratura złoży wnioski o areszt. Przesłuchanie odbędzie się jeszcze dzisiaj, o ile – Bielik zerknął na zegarek – już się nie odbyło. Pani wybaczy na chwilę – sięgnął po słuchawkę telefonu stacjonarnego, wybrał przycisk szybkiego wybierania numeru, rozmawiał chwilę. – Posiedzenie sądu w sprawie aresztu tymczasowego dla pani męża odbędzie się dokładnie o 12.00.

– To za półtorej godziny – otworzyła torebkę, sięgnęła do portmonetki. – Panie mecenasie... Ile kosztowałby pański udział w tym posiedzeniu?

– Pani...

– Marto – rzekła machinalnie.

– Pani Marto – wstał, patrząc jej prosto w oczy – mam dla pani pewną propozycję.

– Tak? – spytała niepewnie.

– Oprócz spraw, które dają wysokie honorarium – skłamała gładko, nawet nie zastanowiwszy się nad tym, że nie miał jeszcze ani jednej takiej sprawy, a tylko same resztki po kolegach po fachu mających znane nazwiska, lepsze biura i pieniądze jak lodu – biorę też sprawy społecznie ważne. W takich przypadkach wysokość mojego wynagrodzenia nie jest kwestią najważniejszą.

– I sprawa mojego męża jest taką sprawą społecznie ważną? – spytała z nadzieją.

– Niewątpliwie tak – potaknął dostojnie głową, oczami wyobraźni widząc swoje nazwisko na pierwszych stronach gazet. – Dlatego proszę się nie przejmować moim honorarium – podszedł do niej i przyjaźnie poklepał dłonią jej dłoń.

– Jestem panu ogromnie wdzięczna – odetchnęła głęboko, ocierając łzy napływające do oczu.

– Nie ma za co – powiedział z uśmiechem. – To ja jestem wdzięczny tobie, że tu przyszłaś – szepnął do siebie w myślach. – Zanim pojedę do sądu, musimy załatwić formalności – odwrócił się na pięcie i podszedł do regału, wyciągnął jeden z równiutko poukładanych segregatorów, położył go na blacie. – Udzieli mi pani pełnomocnictwa.

\*

Marta Kanclerz wyszła z kamienicy i ruszyła Mickiewicza, zmierzając w kierunku swojego osiedla. Zatrzymała się przed skrzyżowaniem z Kosynierów Gdyńskich, przy kiosku. Od razu zwróciła uwagę na krzykliwe tytuły tabloidów, które wszem i wobec informowały, że Hanka Tunelak nie żyje. Westchnęła głęboko. Gdyby nie wczorajsze zajście na parkingu, obejrzałaby kolejny odcinek ulubionego serialu „P jak problemy” i była świadkiem, jak ukochana Hanka po 11 latach grania w tasiemcu traci życie.

Przywołała się do porządku: teraz miała ważniejsze sprawy na głowie niż śmierć bohaterki. Podniosła wzrok, w dali znowu dostrzegła wieżowce na Staszica, te same, które towarzyszyły jej w drodze z komendy. Uśmiechnęła się, wciągając powietrze w płuca, by po chwili wypuścić je z sykiem. Była głęboko wierząca i jakiegokolwiek przesady co najwyżej wywoływały na jej twarzy kpiący uśmiech. Jednak tym razem widok pastelowych bloków napełnił ją siłą, której do tej pory doświadczała jedynie w kościele.

### ROZDZIAŁ 3

Sędzia Aldona Ginkowska rozpoczęła dzień z tak potwornym bólem głowy, że pierwszą myślą po przebudzeniu była ta, aby wziąć wolne. – Dzisiaj będę taką heterą, że skażę nawet najbardziej niewinnego podsądnego – zaśmiała się szy-



derczo, niemal dotykając twarzą lustro, licząc kurze łapki. Za tydzień miała świętować czterdzieste urodziny, a wciąż wyglądała na trzydziestkę, no, może nie licząc takich poranków, jak ten.

– Świętować – parsknęła, dotykając piersi, wciąż jędrnych, mimo upływających lat. Parsknęła jeszcze mocniej, na wspomnienie minionej nocy, jednej z najbardziej upojnych od bodaj dekady.

Wszystko zaczęło się od telefonu Waldka, przyjaciela z Warszawy, z którym umówiła się na pojutrze w poznańskim hotelu, na jeden z tych weekendów, na które oboje czekali miesiącami. Pytał o jej aktualny adres, bo chciał wysłać kartkę. Niemal go zbyła, śmiejąc się, że poczta na pewno nie wyrobi się przed piątkiem, więc będzie lepiej, gdy przesyłkę wręczy jej osobiście. Był jednak tak uparty, że podała mu dane.

Kiedy godzinę później usłyszała dzwonek u drzwi a w juchdaszu zobaczyła twarz sąsiadki, jeszcze niczego nie przeczuwała. Dopiero, gdy obok pani Wiesi pojawił się kosz rozłożystych róż, zorientowała się w podstępnie.

– Oby wszyscy przestępcy świata stosowali tak miłe fortele – uśmiechnęła się szeroko, poprawiając piersi w staniku. Nagle zorientowała się, że łupiący ból głowy zniknął. – Proszę, to już nie tylko seks jest najlepszym środkiem przeciwbólowym, ale nawet samo jego wspomnienie – zaśmiała się perliście. – A może jednak dzisiaj będę łaskawa? – zamyśliła się nagle, szybko strofując w myślach. Nigdy nie pozwalała sobie na to, aby – jak mawiali sportowcy – dyspozycja dnia miała wpływ na ferowane przez nią wyroki. Nigdy.

\*

Prokurator Dobrowolski nie miał równie jasnego systemu wartości zawodowych, co sędzia Aldona Ginkowska, więc nie przejmował się tym, że kac po wczorajszej zgrzewce ta-

niego piwa może wpłynąć na traktowanie Kanclerza. Facet go wkurwił, chociaż gdyby sam się nad tym zastanowił, nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Nie podobała mu się jego zarośnięta mordka? Pewność siebie, z jaką kazał mu spadać na drzewo? A może po prostu podszedł zbyt sztywno do sprawy?

Miał to w dupie. Jego zadaniem, jako przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, było oskarżanie przestępców. A w systemie wartości zawodowych wyznawanym przez Dobrowolskiego zabicie dwóch ludzi było przestępstwem, za które sprawcę należało surowo ukarać. Najlepiej więzieniem bez zawiasów. – Szkoda, że może dostać tylko piątkę – westchnął, wertując akta. – Obrona konieczna? – zaśmiał się na głos. – Już ja ci pokażę obronę konieczną – zamknął gwałtownie teczkę, włożył do aktówki, sięgnął po marynarkę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy brać auto, ale że miał jeszcze kwadrans, zdecydował, że półkilometrowy spacerek wykorzysta na papierosa.

Dziesięć minut później wchodził już do budynku sądu okręgowego.

\*

– Nazywam się Jakub Bielik, będę pańskim obrońcą – wysapał Bielik, wpadając do sądu w ostatniej chwili.

– Moim? – spytał Kanclerz, drapiąc się po szczecinie rękoma skutymi kajdankami, wciśnięty na ławce między dwóch policjantów.

– Pańska żona mnie wynajęła – wyjaśnił pośpiesznie.

– Stać nas? – opuścił ręce.

– O pieniądzach pogadamy później – machnął lekceważąco ręką, jakby szło o 2 złote na drożdżówkę. – Kto przewodniczy? – to pytanie skierował w stronę konwojentów.

– Ginkowska – w odpowiedzi dało się słyszeć burknięcie.

– Świetnie – Bielik zatarł dłonie z radości.

– Zna ją pan? – spytał Kanclerz.

– Jeśli pyta pan o kontakty towarzyskie, to nie – odparł Bielik, szukając czegoś w torbie ze sztucznej skóry (jedyne 25 złotych na targowisku przy Przemysłowej). – Członkowie palestry nie utrzymują tego typu znajomości z sędziami.

Jeden z policjantów ni to parsknął, ni zakaszłał.

– Przynajmniej ja tego nie robię – wycedził Bielik, nie precyzując, że i tak nikt z szanujących się i szanowanych adwokatów czy sędziów nie zaproponowałby mu plastikowego kubeczka wody z kranu, nie mówiąc o jakimkolwiek raucie. – Sędzia Ginkowska jest znana z twardej, aczkolwiek merytorycznej postawy.

\*

Sędzia Aldona Ginkowska nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszyscy obecni na sali – włącznie z protokolantką – patrzą się na nią, szukając oznak zmęczenia. Wiedziała doskonale, że to idiotyczna myśl, ale za nic nie mogła usunąć jej z głowy. Te okrągłe urodziny – a raczej bilans życia, którego panicznie nie chciała wykonać – dawały się jednak we znaki.

Sprawa przekroczenia obrony koniecznej i nieumyślnego spowodowania śmierci, i to podwójnego, przykuła jej uwagę od razu, gdy tylko spojrzała na wykaz dzisiejszej wokandy. Od razu sobie obiecała, że przyjrzy się temu bacznie, a Dobrowolskiemu nie pozwoli na to, żeby potraktował ją po łebkach.

Dlatego, kiedy prokurator skończył lakoniczny opis zdarzenia, od razu przeszła do rzeczy.

– Panie mecenasie? – spytała, nie łudząc się nawet, że młody i nieopierzony Bielik – jak on dostał tę sprawę? – wygra potyczkę z dużo bardziej doświadczonym prokuratorem. – Nieopierzony Bielik – rzekła w myślach, notując w pamięci grę słów.

– Wysoki Sądzie – Bielik wstał, sprawnie zapinając marynarkę. – Zarzuty prokuratury są absolutnie bezpodstawne. Mój klient był na zakupach z rodziną, bez żadnego powo-

du został zaatakowany przez dwóch mężczyzn uzbrojonych w kije bejsbolowe. Jeden z członków rodziny został brutalnie pobity, leży nieprzytomny w szpitalu. Mój klient stał się kolejnym celem tych dwóch mężczyzn i zrobił to, co każdy z nas uczyniłby na jego miejscu: bronił się.

– Panie prokuratorze? – sędzię Aldonę Ginkowską mocno interesowała wersja prokuratury.

– Podejrzany spowodował śmierć dwóch mężczyzn – Dobrowolski zbyt się nie wysiłał, był przekonany, że wynik posiedzenia nie może być inny jak areszt tymczasowy, o który wnioskował. – Może i byli oni uzbrojeni w kije bejsbolowe, ale to podejrzany spowodował większe obrażenia u nich niż oni u niego – zauważył. – Z tego, co podejrzany zeznał podczas wstępnego przesłuchania, trenował karate. Jako zawodnik uprawiający sporty walki powinien zdawać sobie sprawę, że wiedzy zdobytej podczas szkolenia nie wolno mu wykorzystywać w życiu codziennym.

– To prawda? – sędzia Aldona Ginkowska skierowała pytanie do Kanclerza. – Trenował pan karate?

– Tak – Kanclerz wstał – chociaż tylko przez ostatnie pół roku.

– Tylko pół roku? – wtrąciła. – Proszę powiedzieć więcej na ten temat: dlaczego trenował pan akurat karate?

– Podczas narodzin drugiego syna zemdlałem – wyjaśnił. – Okazało się, że mam mocno podwyższone ciśnienie, lekarz zalecił mi więc aktywny ruch. Ponieważ w szkole, obok której mieszkamy, działa klub karate, zacząłem chodzić na treningi – dodał. Nie wspomniał już jednak o tym, że waży 96 kilogramów – czyli co najmniej o 10 za dużo jak dla swojego wieku i wzrostu 168 centymetrów – i że to wynik tego, iż do niedawna odżywiał się przede wszystkim piwem, chipsami i kawą.

– Jak często się one odbywały? – dopytywała.

– Trzy razy w tygodniu, ale ja chodziłem przeważnie dwa razy, na więcej nie pozwalały mi obowiązki rodzinne – tłumaczył.

– Jak określiłby pan swój stopień zaawansowania? – pytała dalej.

– Raczej niewielki, Wysoki Sądzie – Kanclerz się zamyślił.

– Uczyłem się technik samoobrony, ale na wzięcie udziału w zawodach dla początkujących sensei się nie zgodził. Stwierdził, że może za rok...

– Panie prokuratorze, podejrzany nie jest zawodowcem, a jedynie amatorem, który uprawiał karate ze względu na wskazania lekarskie – sędzia Aldona Ginkowska spojrzała na początki łysiny na głowie Kanclerza i umocniła się w przekonaniu, że facet nie miał zamiaru nikogo uśmiercać.

– To ustalimy w dalszym toku postępowania – odparł Dobrowolski niezrażony. – Zdaniem prokuratury wniosek o areszt tymczasowy jest uzasadniony ze względu na groźbę mactwa...

– Gdzie pan pracuje? – sędzia Aldona Ginkowska zignorowała uwagę prokuratora.

– W Zakładach Mięsnych Pol-Mił-Mięs – odpowiedział Kanclerz. – Jestem masarzem.

– Jakie są pana zarobki? – pytała dalej. – Wystarczy podać orientacyjną wysokość.

– Średnio zarabiam 1.600 złotych na rękę – Kanclerz się zawahał. – Z tym, że na konto dostaję najniższą krajową, a resztę pod stołem.

– To wszystkie pańskie dochody? – sędzia Aldona Ginkowska zanotowała coś na marginesie.

– W weekendy dorabiam, biję świnie na wioskach w okolicach Miłowa – wyjaśnił.

– A żona?

– Żona nie pracuje, zajmuje się wychowywaniem dzieci. Mamy trójkę...

– Panie prokuratorze, świadkowie obecni na miejscu zdarzenia potwierdzili, że to podejrzany został zaatakowany przez ofiary – spojrzała przeciągle na Dobrowolskiego.

– Przesłuchani świadkowie są spokrewnieni z podejrzanym – prokurator odpowiedział bielą zębów.

– Wersję wydarzeń przedstawioną przez mojego klienta potwierdza także nagranie z monitoringu – wtrącił Bielik.

– Miałem okazję pobieżnie je obejrzeć, nie pozostawia ono żadnych wątpliwości.

– Wersję wydarzeń przedstawioną przez podejrzanego potwierdza także nagranie z monitoringu – sędzia Aldona Ginkowska cmoknęła wymownie.

– Nagranie zostało zabezpieczone, ale biegły jeszcze się w tej sprawie nie wypowiedział – Dobrowolski wciąż nie czuł zagrożenia. – Prokuratura uznaje, że podejrzany mógł obronić siebie i swoją rodzinę przed napaścią, nie powodując śmierci napastników.

– Bardzo dobrze – po wyrazie twarzy sędzi było widać, że podjęła już decyzję. – Prokuratura będzie miała możliwość udowodnienia tego w procesie. Natomiast sąd nie dostrzega niebezpieczeństwa matactwa ze strony podejrzanego, dlatego wniosek o wydanie nakazu tymczasowego aresztowania zostaje oddalony. Jako środek zapobiegawczy wyznaczam dozór policyjny i zakaz opuszczania kraju.

#### ROZDZIAŁ 4

– Ten się nada – Artur Starosta, asystent ministra sprawiedliwości Roberta Drabczego wparował do gabinetu szefa z prędkością bolidu Formuły 1. Na blacie solidnego, dębowego biurka położył cienką teczkę.

– 27 lat, żonaty, troje dzieci – Drabczy czytał dossier na głos. – I ten dobroduszny wygląd... Żywa reklama Świętego Mikołaja! Nie wahałbym się ani chwili, czy puścić z nim dzieci na kolonię.

– Prawda, że pasuje idealnie? – uśmiechnął się, zadowolony z wykonania zadania. Wyłuskanie takiego nieoszlifowanego diamentu nie było łatwe, ale też praca u boku ministra Drabczego była wyzwaniem samym w sobie. Oczywiście z nagrodą na końcu tunelu, w którym właśnie pojawiło się światło.

– Za co siedzi? – zamknął teczkę.

– Nie siedzi – odparł szybko. – Dwie godziny temu sąd oddalił wniosek prokuratury o areszt tymczasowy. Będzie odpowiadał z wolnej stopy za przekroczenie obrony koniecznej i nieumyślne spowodowanie śmierci – wstrzymał głos, aby zwiększyć efekt. – Gwoli ścisłości: za nieumyślne spowodowanie śmierci dwóch osób...

– Mów po ludzku – Drabczy przerwał mu łagodnie.

– Gołymi rękoma zatłukł dwóch gnoi, którzy wzięli sobie faceta i jego rodzinę na cel.

– Czyli? – otworzył teczkę z powrotem.

– Szukali kogoś, na kim mogliby wyładować nadmiar testosteronu – wyjaśnił Starosta, po czym opisał ze szczegółami zajście z parkingu przy markecie Skalamandra. – Jego szwagier leży na intensywnej terapii. Wyjdzie z tego, ale czeka go co najmniej półroczna rehabilitacja.

– Masarz, zarabia 1.600 złotych, pracuje w zakładach mięsnych Pol-Miś-Mięs – niemal połamał sobie język na skrótce. – Co za nazwa! Skąd ci ludzie biorą pomysły na takie potworki językowe? – ostatnie pytanie było retoryczne. – W weekendy robi fuchy, bije świnie na wioskach – zamyslił się na chwilę. – Tak, pasuje idealnie!

– W rzeczy samej – potwierdził, ukrywając satysfakcję. – Bierzemy go?

– Bierzemy – zdecydował. – A tak na marginesie – zmierzyl asystenta wzrokiem – to masarz pisze się przez „rz”, a masaż przez „z” z kropką to jest wtedy, jak ci dziewczyna wymasuje plecy. I nie tylko – zarechotał, zadowolony z dowcipu, choć doskonale wiedział, że podwładny gustuje w chłopcach, nie w dziewczynkach. Sam nie darzył gejów sympatią, ale zatrudnienie jednego zaskarbiało sympatię liberalnego skrzydła w partii, co było nie do przecenienia.

W odpowiedzi Starosta zaprezentował niewyraźny uśmiech.

\*

Bielik był w połowie sałatki warzywnej – wołał mięsne, ale dzisiaj była promocja na wegetariańską – kiedy zadzwoniła komórka.

– Kogo niesie? – warknął, ubrudziwszy sobie spodnie sosem czosnkowym. Spojrzał na wyświetlacz, dzwonił Tadeusz Niedźwiecki (dla przyjaciół Grizzly), zaprzyjaźniony policjant z drugiego komisariatu. – Czołem – wepchnął do ust spory kawałek ogórka.

– Cześć – odburknął Niedźwiecki w odpowiedzi. – Twój braciszek trafił na dołek. Został zatrzymany za paserstwo.

– Nie interesuje mnie to – mało brakowało, a malutki kawałek ogórka stanąłby mu w gardle.

– Podał cię jako swojego adwokata.

– Popieprzyło go zdrowo – zaśmiał się sztucznie. – Nie jestem reprezentantem tego pana.

– To twój brat...

– To gnida, z którą nie chcę mieć nic wspólnego – warknął.

– Tak samo jak z resztą tej patologicznej rodziny.

– Twojej rodziny – zauważył cierpko Niedźwiecki.

– Mylisz się, stary. To już nie jest moja rodzina – Bielik skrzywił się, próbując trafić widelcem w pokąźną zieloną oliwkę nafaszerowaną pastą paprykową. – Ale dzięki za info.



\*

Dopiero, gdy Starosta wyszedł z gabinetu, pozwolił sobie na grymas dzikiej radości. W końcu udało się znaleźć właściwego człowieka i odpowiednią sprawę. A to wszystko dzięki jego mozolnej pracy... Zamyślił się. No tak, trzeba było przyznać, że znajomości ministra też nie były bez znaczenia. Tylko dzięki temu na bieżąco otrzymywał informacje ze wszystkich prokuratur w kraju. – I pomyśleć, że tyle zachodu tylko po to, aby wybrać tę jedną, jedną – podszedł do ekspresu, podstawił kubek, wybrał latte macchiato. – Ale pomyśl, aby wprowadzenie ławy przysięgłych podeprzeć jakąś medialną sprawą, był mój – dmuchnął w piankę, czujnie patrząc na kształt, jaki przybrała. Nie pamiętał już od kiedy bawił się w takie przepowiadanie przyszłości. Tym razem pianka ewidentnie zmieniła się w morski klif, co nie mogło oznaczać niczego innego, jak zasłużony urlop nad Adriatykiem.

\*

Bielik podłubał jeszcze chwilę widelcem, ale nie zjadł już nic, nie licząc dwóch oliwek. Rozmowa z Niedźwieckim sprawiła, że stracił apetyt. – I cztery złote poszły się... – zmełł w ustach przekleństwo.

– Cztery złote – uśmiechnął się po chwili na wspomnienie pierwszej latarki, którą kupił za taką właśnie kwotę, dwa miesiące przed ukończeniem pierwszej klasy podstawówki. Cztery złote, które zabrał z ojcowskiego portfela. Nie musiałby kraść i kupować latarki, gdyby nie to, że chciał nadgonić braki w edukacji, a ojciec zabraniał mu uczyć się po nocach, bo jego zdaniem marnował tylko prąd. – Elektryczność – westchnął, przypominając sobie o serpentynach kabli wiszących w odrapanej do granic możliwości klatce schodowej w jednej z tych kamienic miłowskiego „kwadratu”, w której mieszkali tylko ci, których było stać jedynie na zawszawiony

i zapleśniały lokal komunalny bez ciepłej wody i z piecami kaflowymi.

To właśnie wtedy, kilka dni po kupieniu latarki, od wychowawczynie pierwszy raz usłyszał, że nic dobrego z niego nie wyrośnie. Zawiął się i przeszedł do następnej klasy, ale już co roku tuż przed promocją słyszał od niej to samo: „Bielik, nic z ciebie nie będzie!”. Do wszystkich kolegów i koleżanek mówiła po imieniu, tylko do niego po nazwisku...

– I widzisz, jak bardzo się pomyliłaś, suko?! – Bielik wykrzywił twarz w grymasie satysfakcji. Kiedy zmarła na raka płuc – całe życie kopciała jak parowóz – i pół miasta płakało po wielkim wychowawcy miłowskiej młodzieży, szurając butami w kondukcje żalobnym, on powstrzymywał się, żeby nie wybiec na ulicę, nie stanąć przed karawanem i nie zacząć tańczyć z radości.

Westchnął głęboko, kolejny raz dziwiąc się temu, że udało mu się wyjść na ludzi. Mimo rodziny składającej się z ojca tyrana, matki narkomanki i alkoholiczki oraz starszego brata, który pierwszy raz trafił do poprawczaka w wieku ośmiu lat. – Udało mi się – uśmiechnął się, patrząc na wytarte siedzisko krzesła dla petentów. Studia prawnicze kosztowały go sporo wysiłku i jeszcze więcej pieniędzy, ale dał radę. A teraz poradzi sobie i z ostracyzmem palestry. Kolegom i koleżankom po fachu udowodni tak, jak udowodnił wychowawczynie.

Sięgnął po pudełko z sałatką, wbił widelec w rozciapanego pomidora. Cztery złote nie mogły się przecież zmarnować.

\*

Starosta upił łyk kawy, bezpowrotnie niszcząc klif, po czym zrobił drugą kawę, dla szefa, następnie wrócił do gabinetu.

– Zgodnie z pańskim zaleceniem osobisty nadzór nad sprawą obejmie prokurator generalny – relacjonował beznamiętnym tonem.

– To oznacza, że – szybkie spojrzenie do akt – Kanclerzowi postawią zarzuty? – upewnił się Drabczy.

– Już postawili, tyle, że nie trafił do aresztu – przypomniał.

– Wkrótce rzucą się na to media.

– Na pewno? – zmarszczył groźnie brwi. – Nie chciałbym, żeby taki łakomy kąsek przeszedł nam koło nosa.

– Na pewno – potwierdził, ważąc słowa. – Pierwszy przeciek pójdzie jeszcze dzisiejszego popołudnia.

– Świetna robota – pochwalił. – A teraz zostaw mnie samego – polecił, odprawiając asystenta gestem ręki.

Kiedy ten wyszedł, minister Drabczy ponownie sięgnął do akt.

– Damian Kanclerz – przygryzł wargę, nabierając przy tym głęboko powietrza. – Kanclerz... Zupełnie jak szef rządu w Niemczech – wypuścił je gwałtownie, po czym się uśmiechnął. – To musi być znak – uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Tak, to na pewno jest znak – rozmarzył się, rozlewając zwały tłuszczu na fotelu, zamykając oczy. – Któż inny jak nie Kanclerz mógłby mnie doprowadzić do fotela premiera...?

\*

Pudełko było puste i Bielik zastanawiał się, czy aby nie wyliczyć ścianek – sos był naprawdę pierwsza klasa, wyrazisty, ale przy tym nie za ostry – kiedy komórka znów zabrzęczała.

– Przecież mówiłem, nie reprezentuję go – rzucił krótko do słuchawki.

– Wiem – Niedźwiecki najwyraźniej też nie miał ochoty na rozmowę. – Chwilę temu twoja matka zrobiła tu karczemną awanturę.

– Niech zgadnę: była pijana w sztuk? – zrezygnował z sosu.

– 2,8 promila – cmoknięcie mówiło samo za siebie. – Ale nie zawracałbym ci tym dupy. Zażądała widzenia z synem.

Odmowa spotkała się z ostrą reakcją, żeby nie powiedzieć: atakiem szału. We trzech musieliśmy ją uspokajać. Groziła Jarkowi premierem, prezydentem, a na końcu Strasburgiem.

– Jarkowi „Byczkowi”? – spytał.

– Tak, temu Jarkowi – potwierdził. – A wiesz, jak na niego działają takie groźby... Więc zamknął twoją matulę na 48 godzin. Dostanie zarzut czynnej napaści na policjanta.

– Matulę – westchnął Bielik w myślach. – Jak to musi być cudownie mówić tak do rodzicielki. Albo mamu, mamusiu, maminko – czuł wilgoć wzbierającą pod powiekami, natychmiast zebrał się w sobie.

– Jesteś tam? – Niedźwiecki podniósł głos.

– Jestem – odparł.

– Słyszałeś, co powiedziałem? Czynna napaść na policjanta – zrobił pauzę. – Z taką kartoteką dostanie wyrok bez zawiasów.

– Świetnie – radość była jak najbardziej autentyczna, na jotę nieudawana. Przez jakiś czas będzie miał spokój, ani ona, ani brat nie będą przychodzić pod blok i żebrać na kolejną operację przepukliny starego zgreda.